



Stanisław Witkiewicz
(1851 — 1915)

Na przełęczy (1891)

Wjeżdżającym od strony Nowego Targu, dolina Zakopiańska wydaje się równym i wąskim skrawkiem ziemi, leżącym między dwoma wałami górskimi, ciągnącymi się ze wschodu na zachód. Od południa wielkie Tatry, od północy pasmo połogich wzgó- rzy, wznosi się wysoko ponad zapadłą równiną.

Wobec ogromu gór, falowanie gruntu trudnym jest do zauważenia, a przestrzenie zdają się na oko znacznie mniejsze. Ale trzeba spróbować iść, w którąkolwiek stronę, żeby się przekonać, iż to, co się zdawało płaszczyzną, jest krajem górzystym, pooranym wielkimi rozdołami i jarami wyżłobionymi przez potoki; — że za temi pagórkami ciągną się wielkie przestrzenie lasów, mokradeł, pól uprawnych, poro- dzieranych sterczącymi z ziemi skalnymi żebrami.

Wśród tych zapadlin, poza wzgórzami i brzeżkami kryją się chałupy pojedyncze i całe osady, zapomniane, wyrzucone na ubocze, zdała od dróg dostępnych, poza fale nowego, płynącego ze świata prądu cywilizacyjnego. Po zatraconych kątach doliny, na stromych stokach pagórków, gnieźdzą się i mnożą całe rody odosobnione, zachowujące pewne stałe cechy i przymioty, i odpowiednią u sąsiadów opinią.

Przestrzeń jednego kilometra oddziela tu czasem dwa różne stopnie cywilizacji.

Tu, bliżej Zakopanego, ludzie obeznani ze światem, z nowymi, bardziej złożo- nymi warunkami życia; chłopci przemysłowi i pomysłowi, nabierający w stosunkach z gośćmi mnóstwo pojęć, sięgających daleko poza ciasne szranki ich bytu; właściciele domów przystosowanych do wykwinniejszych wymagań, sami przywykający do potrzeb życiowych, bardziej złożonych i delikatniejszych; — a tuż, za pagórkami, dzicz pasterska żyje w starych chatkach pospołu ze statkiem; brudna, usmarowana i cuchnąca tłuszczem, zabobonna, lub trwająca w dawnych wstrętach do kościoła Zakopiańskiego.

Mieszkając blisko gór, patrzy się na nie z takiego punktu, zjakiegoby stonoga obserwowała człowieka, dotykając mackami jego butów. „Widzi się tylko ich podeszwy, albo potworne odciski ich nóg, które wydają się same olbrzy mierni i zakrywają góry. Poza bliskiem, byłej akciem wzgórzem ginie wielkość wirchów, które ledwie kończynami swoich grani wysterkają ponad lasy regli.

Czem jest czas w stosunku do wypadków dziejowych i ludzkich czynów, tern jest przestrzeń w stosunku do wielkości i wyniosłości gór.

Tu i tam, właściwe wartości i wymiary tylko z wielkiego oddalenia — lat lub mil — dają się dokładnie ocenić.

Kto więc chce widzieć Tatry, „mieszkając u ich stópu, ten musi się oddalić — a jak w Zakopanem, pójsć na Gubałówkę.

Zaraz za potokiem zaczyna się ten kraj, tak różny i od stojących naprzeciw wirchów, i od samej doliny Zakopiańskiej.

W wielkiem zsympisku żwiru woda wydarła głębokie parowry, zarosłe olszyną, jesionami, jarzębiną, pod których gęstym cieniem, na dnie jaru szemrzą strumyki i źródła.

Oto równa polanka, błyszcząca owsem, który dźwięczy i syczy drżącymi kistkami ziaren i liści, i brzęczy muzyką polnych koników. Pas różowej koniczyny świeci się, obok jaskrawej zieleni lnu, i schodzi aż między ciemne trawy łąki.

Na skraju, ukryte w cieniu rozłożystych konarów lip, jesionów, wierzby, starych modrzewi i brzoź, stare, rdzawo-czarne chałupy patrzą w słońce ciemnymi oczyma małych okien. Poza wszystkim, wielka, szeroka masa gór, zatacza się granatową ścianą, srebrzącą się blaskami słonecznych promieni.

Zakątek ten, tulący się do stóp wzgórza, które go zasłania od wichrów północy, pełen jest ciszy, światła i ciepła. Ślady dróg ledwo widne na murawie, tylko ścieżki, przeddeptane brzeżkami pól, wyraźne i zbite, i ława na potoku pokazują, że mieszkańcy tych cichych siedzib utrzymują stosunki ze światem.

Z „gości”, z „panów“ nikt tu nie mieszka. Wszyscy wołą się tłoczyć na ogołoconych z drzew, ciasnych, sąsiadujących z wielkimi młakami, Kropówkach — twierdząc, że tam bliżej... Kasyna i żydowskich sklepików.

Ztąd też, tu, przez potok od Zakopanego, jest się jakby za górami, za wodami od całego, nowego, tak gwałtownie rozwijającego się w niem życia.

Jedynym śladem tej nowej ocywilizacji, jaki spotkaliśmy, był kapelusz panama na głowie małego góralika. Na zapytanie, zkad go ma? troje dzieci odpowiedziało chórem

— Naśliśmy we wodzie...

[...]

Zaraz za potokiem zaczyna się ten bezład, to chaotyczne, na pozór, gospodarstwo natury, na razie przykre dla człowieka przyzwyczajonego do symetrii i porządku ulic, i wogóle żytego z naturą, nad którą już w zupełności panuje, którą porządkuje

według swoich gustów i potrzeb, i której stosunki sił normuje według swego widzi-
misię.

Tu nic z tego! Człowiek przekrada się wśród zastępujących mu drogę głązów, omija zacinające go po twarzy konary kosówki, ślizga się na mokradłach, tłucze się o kamienie i pnie świerkowe... A im głębiej w świat górski, im wyżej, tem większy bezład, tern mniej wspólnego między człowiekiem cywilizowanym a tą naturą nieugiętą, która jednak tu, u siebie i dla siebie jest w zupełnym porządku, w zgodzie z sobą i prowadzi swoje gospodarstwo według wiecznego, niezmiennego płodo-
zmianu wszechświata.

Te głązy, rumowiska świata, odrywały się od swoich skał macierzystych, staczały się w doliny i legły pod wpływem sił działających ze ścisłością matematyczną; dziś leżą w spokoju czekając, aż wspólne działanie słońca, wody i powietrza rozniesie je na atomy, które znów pochłonie tkanka roślin, które może przyjdą znowu tu w mózgu jakiegoś „pana z Warszawy wykrzykującego: „Ach! jak tu ładnie” albo też zataczającego się w niemem przerażeniu wśród groźnego chaosu pustyni.

Niegdyś, w Meranie, poszedłem do jednego wąwozu górskiego, z którego wypływała czerwona od porfirowego miazgu woda, — byłem słaby i przedelikacony przez życie napół szpitalne, — uciekłem ztamtąd! Tak okropnym wydał mi się właśnie ten chaos, ten widok rozpadania się, rujnowania świata; to wianie dziwnych wichrów krzyżujące się ciepłymi i zimnymi jak lód oddechami; kotłowanie się i tajemnicze bełkotanie wód podskórnych, ryk potoku; te kłody i pnie obdarte zkądś przyniesione falami burzy, te głązy wiszące u szczytów, pochylone do lotu, czające się, i białe ślady ich spadków wykrzesane na poczerńiałych urwiskach... Człowiek nieobeznany z tą naturą doświadcza wrażenia, że się znajduje na polu walki, której przyczyny i celu nie może pojąć, w której jednak czuje, że może być zgnieconym, jak liszka dostająca się pod stopy walczących słońi.

Lecz nawet bez uświadomienia niebezpieczeństwa, poprostu z powodu rozdziwienku między spokojnym nastrojem człowieka, a tern czemś gwałtownym, poszarpanem, potarganem, tą rozterką, jaka jest w tej naturze — nim się do niej przyzwyczai, nim się ją pozna, przechodzi się wobec niej chwilę niepokoju i zniechęcenia.

Szliśmy więc w górę rozsypani wśród wielkich głązów, tonąc w ogromnych przestrzeniach porośłych ciemnymi krzakami kosodrzewiny.

Słońce nad nami wisiało u stropu, jaskrawo obrzeżając skały i igliwie kosówki, ślepiąc garściami blasków leżących na źródłiskach. Wielkie kępy mszamików pokrywały krzaki borówek i kity paproci. Wśród kosodrzewiny i w przerwach między głązami leżał cień granatowy, głęboki.

Towarzystwo rozciągnęło się długim sznurem, gubiąc się wśród labiryntu przejść i drózek.

Im wyżej, coraz wyraźniej dochodził szum potoku, aż wyszliśmy nad granitowe łożo, w którym z rykiem kotłowała się w pianach wściekła woda, niecierpliwie rzucając się na kamienie tamujące jej przejście.

Słońce wdzierało się ostremi smugami w ciemną, otuloną w kosodrzewiny kotlinkę, z której perć schodzi na wody potoku.

Ponad wzburzoną falą, wśród ogłuszającego jej ryku, na kamieniach wystających ponad piany, zewsząd obryzgiwana wodą chwiała się młoda dziewczyna, podając staremu przewodnikowi rękę i skacząc z głazu na głaz.

Przeprawa ta, pod okiem kilkunastu mężczyzn, ponad wściekłą wodą, która swoim impetem zdaje się porywać, swoim rykiem grozić, ponad którą leci, jak jej oddech wirowaty, powiew wiatru, — robiła widocznie wrażenie na dziewczynę. Więc też stanąwszy na drugiej stronie potoku, z twarzą purpurową, nie śmiała oczu podnieść na leżących w mchach nadbrzeżnych podróżnych, owianych dymami papierosów.

Na tej drodze ciągle się napędza nowych ludzi, traci się ich gdzieś w tym chaosie ruin skalnych, i znowu się spotyka na wyższych piętrach zawilego gmachu.

Wydostajemy się ponad gąszcz kosodrzewiny. Wielka, granatowa, prawie czarna tafla stawu leży pod nawisłemi nad nią, z prawnej strony, ciemnymi skałami; w głębi, ponad szary próg kamienny wystają wysokie, ostre wirchy; na lewo olbrzymie szare rumowisko skalne, poplamione rudymi mchami, zielenią szywarów i ciemnymi krzakami kosówki.

Perć idzie ponad stawem. Patrząc z góry na jego powierzchnię, widać, przez płytką wodę pobrzeża, dno zawralone kamieniami, świecącemi zpod błękitnego przeźrocza, jak zatopione odłamy lodu. Dalej, ku środkowi, cień tajemniczy gęstnieje, aż w końcu przechodzi w mrok nocy, która zdaje się drzemać tam zatopiona w nieprzejrzanym głębiach.

[...]

Mrok zalegał głęboką dolinę, zniżającą się ku oddaleniu. W głębi wznosiły się czarno-granatowe przy czoła gór, pokrytych kosodrzewiną, wśród której wiła się biała nitka potoku. Wyżej leżał wielki szafir stawu, oprawiony w srebro wiecznych śniegów i jasnych rumowisk skalnych, na które padało światło przesiane przez gąszcz chmur wiszących u góry. Ciemne wirchy, szczybatemi zębami wpierały się w mgły patargane, które żółtawymi płatami światła rozdzierały, rozszarpywały ścianę gór, tworząc z nicła jakieś ruiny wież olbrzymieli. Dwa piętra doliny stawów ciemno-smreczyńskich całe nasiąkłe światłem, zdawały się nurzać w fosforencji, pełnej blasków opalowych i perlistych, która je odcinała od całego ciemnego, ponurego otoczenia.

Z oddali, dolatywał przyciszony szum wody i ginął w przestworach powietrznych, jak słabe westchnienie.

Między turniami wału, okalającego dolinę od północy, pasło się stadko kozic, które za ukazaniem się naszym pomknęły i znikły w wirchu.

Schodzimy. Dolina pokryta bujnymi trawami, chłodna, podmoczona młakami, nad którymi kupią się gąszcze liści podbiała, zapada na prawo coraz gwałtowniej na dół, tam, niżej widać las czarny, a nad nim — potwór!

Świat zastawiony jakąś olbrzymią masą, fioletowo-opalową, ciągnącą się strasz-
nym gmachem z zachodu na wschód. Zdaje się, że ziemia kiedyś jęła i zapadła się
pod ciężarem tego niezmiernego cielska z granitu. Chcąc spojrzeć na niebo, trzeba
zadzierać głowę, i tylko z prawej strony z poza ściętego zrębu świecą się gdzieś
w dole jakieś dalekie kraje w słońcu, roztopiając się w widmach gór powietrznych
na widnokręgu, i błyszczą jak srebro, kłęby białych obłoków. Ogrom tego wirchu,
stojącego w jakimś groźnym spokoju, materyalny ciężar tej masy granitu, której
kilka kilometrów zagradza nam drogę, i wznosi się ponad światem głucho, niemo
i obojętnie, denerwuje nas i złości... Nie możemy się wstrzymać od wymyślenia tej
bestyi kamiennej, która się nazywa: Hruby wirku.

Ktokolwiek miał do czynienia z naturą a zachował w sobie zdolność odbierania
szczerych, bezpośrednich od niej wrażeń, które jedynie pozwalają odczuwać dusze
świata, osobowość zjawisk, ten zdoła sobie uprzytomnić stosunek, zachodzący
między ja ludzkim, a takimi potęż- nymi objawami przyrody, jak, przypuścmy,
morze lub góry. Zdaje się, że nietylko wrażenia wzrokowe, nietylko kojarzenie się
wyobrażeń, lecz jeszcze jakieś inne siły fizyczne, jakieś subtelne i nieznanne składniki
natury i człowieka są czynnikami, dzięki którym wobec pewnych objawów przyrody
doznaje się wrażeń, wpada się w stany psychiczne, które się nigdy w odmiennych
warunkach nie powtarzają.

Dlatego to, góry malowane nie dają nigdy zupełnego przypomnienia tych wra-
żeń, jakich się doświadczało wobec rzeczywistości. I nie dlatego, żeby w malarstwie
nie można było wydobyć wrażenia ogromu, wykazać stosunku wymiarowego mię-
dzy człowiekiem a górą. Gdyż, cokolwiek twierdził nasz Monachijczyk, do szczętu
zdemoralizowany przebytymi trudami i przygniatającą potęgą Hrubego Wirku,
cokolwiek mówił o niewłaściwości i nie verkäuflivosti tego tematu — góry malo-
wać można i wiele ich stron w zupełności w obrazie okazać, wywołać doskonale
wrażenie ich malowniczości, ich kształtu i barwy. Braknąć tylko w tern będzie tego
niewytłomaczonego pierwiastku, który uderza jak czad do głowy i przyprowadza
duszę nad taki brzeżek, z którego zdaje się, że zdrowo nie zejdzie...

Lecz idźmy dalej!

Jesteśmy już znużeni i stacamy się za pochyłością doliny, jakgdyby przyciągani
przez potworną bryłę Hrubego Wirku.

[...]

Nad nami wiszą skaty, po których niewiadomo jak zeszliliśmy; za nami zieją pasz-
cze przepaści; wszędzie potrzaskane, potargane, czarne łomy granitu i płyty wiecz-
nych śniegów w ciasnych i ciemnych szparach żlebów; — na szkarpie trochę mchu
rudego i dzidziełka trawy porastają. Zimno i ciemno, bo strona północna, a czarne
skały nie odbijają dalekich światła, zalewających resztę świata leżącego pod nami.
[...]

Ze szkarpy ścieżka spada gwałtownie na dół, za łożyskami wód, podarta, zasypana
gruzem, błędna, rozgałęzia się w mnóstwo wężykowatych wyżłobień; przechodzi koło

wielkich płatów wiecznego śniegu, podtającego od dołu, sączącego na leżące pod nim gruzy kropla po kropli kryształowej wody. U dołu buli trafiamy na zwał potężnych gładzów czarnych, splekanych, strząśniętych gdzieś ze szczytu dokoła równych krzesanic, silnymi złomami wpierających się w rumowisko. Po tych ogromnych, nieforemnych gładzach idzie się, wtaczając się w górę, spadając na dół, przeskakując nad wielkimi między nimi otworami. Opoka granitu chropawa, szorstka, doskonale trzyma stopę na najstromej pochyłości; odgłos, który wydaje przy uderzeniu obcasem lub kijem, jest dźwięczny, — granit wzbudza zaufanie, śmiało się nań stawia nogę i po nim chodzi Nie tak, jak gąbczaste, wyświechtane, kruszące się, zdradne wapienie. Jeżeli w naturze coś może być tandetnego — to są skały wapienne w porównaniu z granitem. Przybierają one wprawdzie fantastyczniejsze, dziwniejsze kształty — ale właśnie dlatego, że woda i powietrze łatwiej je niszczą.

Z pod czarnych krzesanic, chropawą wyrwą, wyżłobioną między gładzami i piargiem, idziemy w dół; okalamy wielkie przypory granitu i wcho-dzimy na pochyłość zasypaną ruchomymi gładzami, wśród których zieleni się szywar i kity paproci; znowu zwracamy się w górę, wprost na turnie, i wychodzimy na grzbiet usypiska.

Pod nami w dole leży zwierciadło stawu w kotlinie ze szczerzej skały. Szare, paplami-one płatami śniegu, strome, niedostępne turnie dźwigają się prawie prosto z wody, wysoko na niebo, — a drugie także skały łbami na dół widać było w stawie, który nie drżał najmniejszą zmarszczką fali. Górale mówią, że to widać „tamten świat, drugi“, — jest to Staw Czarny pod Rysami.

Schodzimy nad jego wody, otoczone z trzech stron amfiteatrem skał podpartych zypiskami gruzów, na których widnieje pod śniegami trochę porostu; — zresztą lite skały, z jednej strony wiszące potworną, pochy-łoną ścianą, przegładają się w martwej, nieruchomej wodzie, utrzymywanej w tej kotlinie naturalną groblą granitową, przez którą zlewa się jej nadmiar szumiącym, spienionym potokiem do leżącego pięćset stóp niżej Morskiego Oka.

Leży ono, tam w dole, pod nami, ciche, ciemne, tajemnicze, osłonięte cieniami gór, połyskujące przy brzegach srebrnymi smugami, wchłaniające w ciemne swoje wody odbicia otaczających je potężnych, mrocznych wirchów. Podmuch wiatru przeciąga nad wodą, która się skrzy przez chwilę srebrnym błyskiem, i znowu wygładza się w ciemną, miękką tafię.

[S. Witkiewicz, *Na przełęczy, Gebethner i Wolff*, Warszawa 1891, s. 66-69, 134-137, 153-156, 228-230]